



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ksiedpccyca gówna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Swiat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

Dwaj myśliciele francuzcy

Z XVIII WIEKU.

(Dalszy ciąg).

Jeżeli Voltaire rzeczywiście niewinnie cierpiał z powodu owej satyry, której ostatnie słowa: „et je n'ai pas encore vingt ans,“ wystarczyły do osadzenia go w Bastylii, dał sobie za to sowite zadośćuczynienie, napisawszy piorunujący wiersz na *Chambre de justice*, osobną instytucję, ustanowioną przez Filipa Orleańskiego dla obdzierania ludzi bogatych z bogactw, które do szkatuły księcia, na rozpustę i zbytki, od czasów imperatorów rzymskich niepamiętne, wpływały. Jestto jedno z najpotężniejszych oskarżeń, jakie rozum rzucił w oblicze zbrodni, i wraz z *Odą na nieszczęścia czasu*, napisaną w r. 1713, i o czterdzieści kilka lat późniejszą *Odą na jezioro Genewskie*, należy do rzędu tych utworów muzy Voltaire'a, które każdy prawy a światły człowiek, bez względu na filozofię i religię, jaką wyznaje, z duchowem zadowoleniem odczyta. W końcu tej satyry poeta przepowiada rewolucję 1789 r. Uszło Voltaire'owi bezkarnie wyszydzenie owej Izby sprawiedliwości a właściwie rozboju, która według obliczeń historyków, przesła 200 milionami franków, przez kilka lat istnienia swego, zasilala, wiecznie próżny, skarb ówczesnego rządu Francyi. Czekala jeszcze Voltaire'a Bastylia, ale z innego zupełnie powodu: jeden z tej arystokracji, która towarzystwem swem pacyzła młodzieńczego ducha, ks. de Rohan, uczuwszy się obrażonym przez młodego poeę, kazał go na ulicy, w biały dzień, obić swej służbie; Voltaire posłał mu wyzwanie, a gdy tego nie przyjęto, zamyslał

już o zemście doraźnej, podstępnej, którą przewidując nizezemny przeciwnik, postarał się o *Lettre de cachet* i Voltaire'a znowu osadzono w ponurym zamku, na który sprawiedliwość ludowa nareszcie d. 14 Lipca 1789 r. wyrok zagłady wydała. Było to w r. 1725. Po półrocznem uwięzieniu uwolniony, wyjechał głośny już na całą Francję poeta i człowiek przekonany do Anglii. Wyjazd ten stanowi epokę w jego życiu. Anglia uczynila Voltaire'a myślicielem i pisarzem poważnym: dotychczas był on tylko utalentowanym hulaką, który względami wielkich pań (marszałkowa de Villars, pani de Rupelmonde), i aktorek (Adryanna Lecouvreur, Livry) się cieszył, wiersze składał, tragedye wystawiał, nadużycia wytykać poczynął, w *Henryadzie* przeciwko fanatyzmowi się podnosił, w *Epitre à Uranie* wzlatywał na skrzydłach swobody myśli; ale jeszcze ani do tytułu filozofa praktycznego, narodowego, ani do nazwy myśliciele, istotnego nie posiadał prawa.

Pobyt w Anglii (1726 — 28 r.) był rzeczywistą szkołą dla Voltaire'a. Znajomość z wolnomyslnym Bolingbrokiem, który otworzył mu oczy na życie przeszłości, wprowadziła go na tor poznawania prawdy; pisma Sidney'a, Shaftesbury'ego młodszego, Mandeville'a, Locke'a, Newton'a, samego Bolingbrok'a wreszcie, promienne ślady tej prawdy mu ukazywały. Poznawszy urządzenia polityczne, społeczne i towarzyskie Anglików, wszedłszy do ich rzeczypospolitej umysłowej, nabrał, podobnie jak Monteskiusz, przekonania o wyższości Albionu nad kraj ojczysty, i przez całe życie już przekonania tego się nie zaparł. Angielscy filozofowie uczynili go na całe życie sensualistą; angielscy filozofowie przejęli go tym silnym deizmem, który później zjednywał mu taką nieprzyjaźń, rzec można, pogardę materialistów; angielscy filozofowie — bo nie ówczesne ustawy Anglii — ukazali mu najwyższe dla pożytku ludzi z ludźmi prawo tolerancji; angielscy filozofowie wreszcie, a głównie przez klasyczne swe dzieło Sidney, napełnili go

przeświadczeniem, że ludzkość zbliża się nieprze- parcie do lepszej formy rządu, niż była monarchia francuzka. Jednem słowem, Voltaire, jako pisarz mówiący prawdę społeczeństwu i ludzkości, pisarz w najszlachetniejszym znaczeniu — które Carlyle nazwał bohaterstwem opromienia, — wyrobił się, powstał w Anglii. Poznać to można, porównyując jego działalność z epoki poprzedniej, z działalnością w epoce następnej. Była to istotna, powtarzamy, szkoła dla Voltaire'a, istotny, dotykany, na czynach wykazał się dający, a doniosły wpływ zzewnątrz na całą organizację umysłową człowieka i przeznaczenie jej w życiu. Zarozumiałość niemiecka prawi o wpływie Fryderyka Wielkiego na Voltaire'a — ale to tylko zarozumiałość. Jeżeli był wpływ jaki z tej strony, to chyba ujemny: charakter jeszcze bardziej podupadł przez otarcie się o takiego człowieka bez charakteru — charakterem nie jest naga siła woli — jakim był założyciel potęgi pruskiej.

W Anglii poznał Voltaire i, podziwem przejęty, w umysłowość swą wcielił, cudny w prostocie a niezachwiany w prawdziwości, systemat grawitacyjny Newtona, i gdy później do kraju powrócił, wierszem i prozą go rozpowszechniał. W Anglii poznał Shakespeare'a, i chociaż całej głębokości jego pojąć nie zdołał, choć zdanie swoje o nim zmieniał, raz go chwalał, to znowu „barbarzyńcą, dzikim pijanym“ mianując, — nie mógł jednak oprzeć się uznaniu kolosalności w charakterach, której tylko sam w licznych tragediach swoich, nigdzie nie dosięgnął. Brał wszakże pojedyncze sceny z Shakespeare'a (*Hamlet*, *Romeo i Julia*, *Juliusz Cezar*) — i, o ile to przy zupełnej odmiennosci natur twórczych stać się mogło, ślady wpływu jego na siebie zatrzymał.

Wróciwszy z Anglii, to, co widział i poznał, spi- sał w sławnych *Lettres sur les Anglais*, znanych także pod nazwą *Lettres philosophiques*. Była to pierwsza praca, a raczej szereg myśli o życiu społecznem, religijnem i umysłowem Anglików, która ogromnego

już doznała rozgłosu; w niej się już postać przyszłego autora *Essai sur les moeurs et l'esprit des nations* zarysowuje. Duchowieństwo postarało się o zakazanie tej książki, którą też parlament przez kata spalić nakazał; rozpoczęto nawet dochodzenie sądowe przeciwko osobie niegodziwego, tych rozumnych listów autora. Na polu dramaturgii w tym czasie powstały tragedye *Brutus* i *Smierć Cezara*. Od powrotu do kraju uwydatnia się pewna zmiana w sposobie życia Voltaire'a. Nie przestał on wprawdzie być człowiekiem wolnych obyczajów, ale odmienił swoje towarzystwo. Więcej szukał teraz ludzi wykształconych niż świetnie żyjących, i w ogóle ograniczył stosunki swoje do szerszego koła. Do najbliższych jego należeli: Génonville, Desmaisons, Formont, d'Argental, Cideville. Niezależność majątkowa, jaką już wówczas posiadał, zastępowała to, co ludzie z prawdziwą godnością moralną mają w samych sobie: powstrzymywała od wspinania się ku tak zwanym klasom wyższym. Nowe wydanie *Henryady*, uskutecznione w Londynie na zasadzie subskrypcyi w sferach dworskich i arystokratycznych, dało Voltaire'owi już prawie fortunę, którą powiększył później udział w pożyczce loteryjnej miasta Paryża, jakoteż spadki po ojcu i bracie i bogate dary panujących. Z czasem stał się Voltaire milionerem i — przy słabym charakterze swoim w milionach miał niemalą podporę nie tylko dla porządnej pracy umysłowej wytwórczej, obierającej sobie dowolnie przedmiot i kierunek, ale i dla stałości wypowiedzianych przekonań. Jakgdyby czuł takie dla siebie podparcie, przywiązany był do bogactw; był chciwym, w chciwości swej niezawsze godność zachowywał; nie można jednak powiedzieć, aby to, co miał, miał wyłączenie dla siebie. W późniejszym zwłaszcza wieku niejedyn dobry uczynek z pomocą majątku swego wyświadczył; a nie tylko ojczyzna jego korzystała z tego, co przez chciwość zgromadził, nie tylko prześladowani przez los i fanatyzm, ale i rozmaite znakomitości francuzkie i europejskie z jego szkatuły czerpały.

Wystawiwszy w r. 1732 *Zaire*, którą w osmnaście, a według innych, we dwadzieścia dwa dni napisał, po niej zaś *Adelaide Du Guesclin*, która nie miała powodzenia, — Voltaire, niezadowolony z publiczności, oskarżany słusznie o bluźnierstwa w *Dzieciocy Orleańskiej*, która przez trzydzieści lat od czasu powstania swego (1732) obiegała po Francji w odpisach, pomawiany niesprawiedliwie o sprzyświeżenie się na ludzkosć za swoją *Epître à Uranie*, którą teraz dopiero wydać się ośmielił, prześladowany przez rząd i duchowieństwo, wypędzany z Paryża, szarpany przez polemikę, częstokroć nieuczciwą i niewdzięczną (Desfontaines) — i tem wszystkiem zniechęcony, około r. 1735 zapragnął usunąć się z wielkiego świata, a zawiązaną dawniej znajomość z margrabiną Du Châtelet pragnieniu temu bezzwłocznie urzeczywistnić się pozwoliła. Margrabina zabrała go do swego zamku Cirey w Szampanii.

Tu zbiegło Voltaire'owi trzynaście lat życia. Pani margrabina była kobietą bardzo uczoną; pisała o ogniu, o sile ciężkości, o innych rzeczach; zamieszana w Newtona — lubiła myślać chodząc po niebie, sercem jednak trzymała się przy samej ziemi. Trafnie nazywał ją Fryderyk Pruski „Venus-Newton“. Pokochała ta Venus filozofa i poetę, podobno jeszcze w Anglii, gdzie się studjom nad prawami natury oddawała. Mamy więc nową miłość Voltaire'a i nowy skandal: innych miłości nie zapisała historia owych czasów, które mimo krzyków, że świat się ciągle psuje i jest coraz gorszym, nieskończenie jednak gorszymi były od naszych. W owych czasach cnota pozostawała w ukryciu, zamknięta na partykularzach — wielkim gościńcem życia kroczył sam tylko występki. Tak było wszędzie; tak było we Francji i u nas. Stosunek z margrabiną, jakkolwiek w obliczu moralności potworny, był jeszcze na owe czasy lepszym od innych. Obyczajem ówczesnym pan Du Châtelet nie miał nie przeciwko zbroczeniu uczuć swej połowy. Przy całej płochości Voltaire w stosunku z margrabiną okazał się wyższym od swej towarzyski: dochowywał jej wiary, miał dla niej wielki szacunek, dzielił z nią całe swoje życie umysłowe, — przywiązał się do niej tak, iż mu towarzystwo jej nieodstępne stało się potrzebą serca i umysłu. Margra-

bina była mu przez długi czas wierną, ale nie-szczęście mieć chciało, że, wyjechawszy razem z Voltairem na zaproszenie króla Stanisława do Lunewilu w roku 1748, po tylu latach spokojnego życia, sama w bardzo już niemłodym wieku, poznała innego filozofa, materyalistę — *minorum gentium* — i porzuciła sensualizm i deizm dla materyalizmu. I tak Voltaire został zdradzony przez kobietę, która, od zdrady zaczawszy, na zdradzie skończyła. Gorszące bardzo okoliczności towarzyszą nagłemu prawie skonowi margrabin w Lunewilu w r. 1749, a jaskrawe świadectwo o owych ludziach i o epoce, w której żyli, dają pamiętniki współczesne: obaj, Voltaire i Saint-Lambert, stojąc nad grobem ladasznicy — padli sobie w objęcia. Była to zasada tolerancyi w nowym, dla ludzi dzisiejszych niepojętym, zastosowaniu.

W Cirey Voltaire wiele bardzo pracował. Działaniem to może było, ale dowodziło zamiłowania w nauce, że światła para urządziła sobie tutaj domowe obserwatorium astronomiczne, z którego bieg gwiazd śledziła. W tej epoce życia Voltaire objawiał najwięcej skłonności do przyrodoznawstwa, chorował nawet na to, żeby zostać członkiem Akademii nauk ścisłych w Paryżu. Condorcet wspomina, że jedna z jego rozpraw konkursowych przez pracę samego tylko Eulera prześcignięta została — a taka przegrana jest już rzeczywistym zaszczytem. W Cirey wykończył Voltaire pierwszą swoją pracę historyczną, która tak blisko nas obchodzi, a której wiarygodność we wszystkim król Stanisław własnym podpisem — kto wie czy zupełnie właściwie położonym — stwierdził: *Historie Karola XII*. Wiadomo, że ojciec Stanisława Augusta, wojewoda Mazowiecki, przeciwko tej książce współcześnie wydał swe uwagi (*Remarques d'un seigneur polonois etc.*) i wogóle poruszyła ona umysł w Europie. W Cirey rozpoczęty został *Wiek Ludwika XIV*, do którego pomysł powziął był Voltaire jeszcze w dniach wczesnej młodości. Tu również pierwsze materyały do dzieła *O duchu i obyczajach narodów* do teki pisarza weszły. Z utworów poetyckich tu powstał *Discours sur l'homme* z *Essay on man* Pope'a naśladowany, w stosunku do oryginalnych wybitnych myśli zbyt rozwlekły — oraz kilka tragedji, z których najznakomitszymi są: *Mahomet* i *Alzyra*. Podczas pobytu w Cirey otrzymał Voltaire tytuł historyografa Francji (1744), urząd dworski wraz z pensją bardzo sutą, i wreszcie w roku 1746 wszedł do grona nieśmiertelnych w Akademii Francuzkiej.

Śmierć margrabin dozwoliła wreszcie Fryderykowi „Wielkiemu“ ujrzeć w rezydencji swojej, w Potsdamie, wielbionego dotychczas zdala a osobście znanego z krótkotrwałych zaledwie odwiedzin, Voltaire'a. Stosunki listowe między nimi zawiązały się były jeszcze w czasie, kiedy Fryderyk jako następcę tronu na wygnaniu w Rheinsbergu przebywał. Voltaire miał wydać *Anti-Machiawela*, którego król będąc jeszcze następcą napisał, a którego, zostawszy królem, drukować już nie chciał. Później miejsce *Anti-Machiawela* zastąpiły poezye, — król je produkował, a Voltaire wysmiewał i poprawiał, co *praniem bielizny* nazywał. Osobście poznali się, monarcha pozujący na filozofa, i filozof, nazywany później monarchą, w Cleve w roku 1740. W latach 1742 i 3 Voltaire jeździł do Berlina na przesłpiegi dyplomatyczne, w których jednak nie miał szczęścia. Trafił na przebieglejszego od siebie i z niczem raz i drugi powrócił. Fryderyk cenil go jako wolnomyśliciela i pisarza, lekceważył jako dyplomata. Lekceważenie to wszakże nie zerwało dobrych stosunków między dwoma, górującymi nad poziomem wieku, umysłami. Król, nieumiejący pisać po niemiecku i z pogardą traktujący niemieczyznę, otaczał się chętnie Francuzami, zamawiał ich i sprowadzał z Francji i chciał mieć koniecznie na dworze swoim najznakomitszego ze wszystkich — Voltaire'a. W r. 1750 nareszcie celu swego dopiął: Voltaire zjechał do Potsdamu, aby tu objąć godność szambelana i przyjaciela królewskiego, co mu zapewniało nie tylko zewnętrzne zaszczyty i wszystko, co dać może królewska wystawnosć, nawet na takim dworze jak dwór Fryderyka nieunikniona, ale i 20,000 fr. rocznej pensji. Jak się to dworactwo w Sierpniu 1750 r. ufundowało i jak na Boże Narodzenie 1752 roku smutny koniec wzięło — o tem, barwnym, żywym stylem swoim, opo-

wiada na podstawie pamiętnika samego Voltaire'a *Mon séjour à Berlin*, Macaulay, niezrównany malarz charakterów historycznych. Prózność z obu stron społa ogniwa, i taż sama prózność później je rozwiodła. Król poznał brak charakteru w Voltaire'ze; Voltaire rad nazywał go „Alcyoną — Fryderykiem“. W końcu znieawidzili się. Powód bezpośredni do zerwania dał Maupertuis, prezes akad. berlińskiej, który, ośmieszony przez Voltaire'a w *Diatrybie du docteur Akakia*, póty intrygował i podburzał, póki wybuchu nie spowodził. Na początku Stycz. 1753 r. Voltaire był już w Gotha, z kąp do miesięcznym pobycie wyruszył do Francji. We Frankfurcie nad Menem trzymano go blisko przez dwa tygodnie jako więźnia, dopominając się wydania *Oeuvre de poëshies du roi*, jak we francuzczyźnie swojej nazywali mazaniny królewskie Niemcy do egzekucyi użyć. Nareszcie, otrzymawszy owe *poëshies*, puszczonego poetę swobodnie wraz z siostrzenicą, panią Denis, której Fryderyk do Potsdamu przyjął nie chciał, a która teraz pospieszyla na spotkanie wygnanego. Z Frankfurtu pojechał Voltaire do swoich majątków ziemskich, w Alzacyi, i tu dwa lata, do r. 1755, przebył.

Owoce prac wolterowskich na dworze Fryderyka było drugie w kolei czasu dzieło historyczne: *Le siècle de Louis XIV*, w czterech tomach. Nieopracowane dość krytycznie, osobliwie ze względu na osobę głównej postaci i otaczający ją dwór, dzieło to jest jednakże źródłowym obrazem panowania tak długiego, świetnego a nieszczęsnego i wychodzi z ram kronikarskich, w jakich historję trzymano jeszcze w XVIII w. W Potsdamie zbierał ciągle Voltaire materyały do swego wielkiego *Essai*; z poezyi mało napisał. Na czas pobytu w Alzacyi przypadają *Annales Cesarstwa* (*Annales de l'empire*), na sposób których ułożono później wiele podręczników w Europie, a pomiędzy innemi i u nas, pod imieniem Albertrandego znane, *Dzieje królestwa polskiego* (1766).

W roku 1755 nabył Voltaire na własność wille pod samą Genewą, „Aux Délices“. W tym samym czasie zamieszkał w Ferney o kilka kilometrów od miasta, a około r. 1760 znaczne obszary, nazwaną objęte, w krainie Gex, we Francji już, położone, przeszły na jego własność. Była to majątnosć od czasów Henryka IV wolna od wszelkich danin. Voltaire wyrobił jeszcze dla niej i dla własnej swej osoby, zupełną prawie niezależność wobec administracyi, co było na owe czasy jedyną tarczą przeciwko nadużyciom i zdzierstwom urzędowym. — W obu miejscowościach, blisko siebie położonych, miał mieszkanie i pracownię i na przemiany w nich przebywał. Posiadał jeszcze dom w Lozannie. Towarzyską sześćdziesięcioparoletniego już starca i panią domu jego była owa siostrzenica, Madame Denis. W Ferney Voltaire nie tylko dla siebie samego pałac zbudował i park urządził, ale można powiedzieć, że wzbudził życie na całym obszarze: ziemię i ludzi do nowej działalności powołał. Sprawdzał nowych osadników, dawał pomoc i zachęte dawniejszym, napominał do pracy i pilnował, aby rąk bezczynnie nie opuszczano. Pustką prawie od czasu odwołania edyktu nantejskiego stojące obszary ożywiły się nanowo. Nietolerancya Genewczyków, a niepowsięciagłość Voltaire'a w piorunowaniu na nią — zniewoliły go w końcu do zupełnego opuszczenia owego *Maison des délices*; nietolerancya także i fanatyzm religijny, wywoławszy w Genewie wojnę domową (1770), zaludniły Voltaire'owi Ferney. Sypnęli się do niego wychodźcy; kazał dla nich zbudować pięćdziesiąt domków murowanych — i tak powstała tu kolonia zegarmistrzów, 1200 osób licząca, dla której bezpośredni jej opiekun wyjednał protekcję ministra Choiseul'a. Ilekroć zbrakło nabywców lub środków do dalszej pracy, Voltaire, albo je sam dawał, albo przez stosunki swoje zapewniał. Ważniejszą od pomocy materyalnej była pomoc duchowa dla umysłów nieszczęśliwej ludności. Dziedzie Ferneyski ciągle swoim, codziennym, jakby kropla po kropli ustawicznie spadającym, wpływem — przejednał umysły i zasadę tolerancyi, którą sam tak głęboko wyznawał, wielu potrafił w ciemne nawet tłumy. Podczas gdy o miedzę niemal mordowano się z powodu religii, w Ferney protestanci żyli w zgodzie z katolikami, szanowali nawzajem swe obrządki religijne i udzielali sobie pomocy, nie jako przed-

stawicie dwóch wrogich sobie potęg, ale jako bracia, synowie jednego Ojca. Szkoła i kościół tolerancyjny prowadziły wykształcenie ludu w państwie Voltaire'a. Niezależnie od kościoła dla wszystkich stanęła jeszcze w r. 1761, jakgdyby dla kultu deizmu, świątynia, na której napis: *Deo erexit Voltaire*—próżności niemałej budownika jej dowodził. Oprócz kościoła i szkoły znajdował się w Ferney teatr, który może Voltaire dla samego siebie założył, ale raz założywszy, dla ludu go już utrzymywał, wiedząc jak zbawiennie dobieranymi odpowiednio utworami na umysły wpływać można. Czy wpływ taki rzeczywiście wywierany był w Ferney?—wątpić należy. Do dziwactw należało osobiste występowanie Voltaire'a na tym teatrze. Madame Denis była tu stałą aktorką. Ale scena w Ferney oglądała i lepszych; tu występowała słynna Clairon i Lékain. Dla ostatniego Voltaire był, jeszcze na początku jego zawodu, rzeczywistym dobroczyńcą.

(Dalszy ciąg nastąpi).

VANINA ORNANO

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

przez

J. K. S.

(Dalszy ciąg).

Scena III.

(Ogród, ulice ciemne, ścięte szpalery prowadzą w dwie przeciwne strony; na przodzie sceny siedzenie z darni pod drzewami. W dali pałac.—Z głębi ogrodu wchodzi: poważny starzec, Hugo Colonna i Sampierro, wiódąc rozmowę).

Hugo (z ironią)

A zatem dzisiaj, dzisiaj ma się odbyć ślub twój z hrabianką Vaniną Ornano? No, to w sam czas przybyłem....

Sampierro

Już od trzech dni oczekuję przybycia waszego. Listy moje zapewne się spóźniły....

Hugo

Zapewne.—Obawiałem się czy już nie zapóźno.

Sampierro

Proszę was do pałacu, Hugonie. Przedstawię was hrabinie Ornano i mojej narzeczonej, jako tego, co mi miejsce ojca zastępuje. Ah, zacny Hugonie! gdybyś wiedział jak cudnej i szlachetnej dziewczicy pozyskałem serce! Jak ją kocham, i jak wzajemnie kochany jestem! Na określenie szczęścia swego słów nie mam.

Hugo

Shczęście, szczęście i szczęście! To mara, za którą gonią wszyscy pospolici ludzie — ależ osobiste szczęście nie może być celem życia twego, Sampierro Bastelico!

Sampierro

Hugonie, czemu przypominasz mi dzisiaj, że jestem, lub że powinien być, czemś więcej, niżli ci, których ty zowiesz pospolitymi ludźmi, a którym Bóg łaskawie zrzuca z niebios ziarenka codziennych rozkoszy, na ulgę i osłodę codziennych prac i smutków?

Hugo (surowo)

Na co ci przypominam, że jest Sampierro Bastelico? Na cóż potrzebujesz tego przypomnienia?

Sampierro

Dobry, zacny, stary mój przyjacielu, nie bądź zbyt surowym dla mnie.

Hugo

Za mało surowym jestem.

Sampierro (*biorąc jego rękę*)

Hugonie, wzywając cię tu, sądziłem, że się ucieszysz szczęściem tego, który, jak mi zawsze mówiłeś, droższym ci jest nad syna — sądziłem, że gdy się schyle do kolan twych z prośbą o błogosławieństwo, to na posępnej twarzy twej, na chwilę uśmiech zabłyśnie.

Hugo (*ponuro*)

Uśmiech radości na twarzy starego Hugona, to gość nigdy niebywały! Usta starego Hugona nabyły zgorzkniały od piołunów przekleństwa, aby błogosławić mogły.

Sampierro

Hugonie, gniewasz się na mnie: czy masz żal jaki? Wyrzuć go prędko z serca, wypowiedz go. Mów mi prawdę, łaj mnie; niech ci się zdaje, że jestem małym chłopięciem. Ja wszystko przyjmę od ciebie; tylko mi nie bądź tak smutnym, dzisiaj przynajmniej. Dzisiaj,—ten dzień jeden,—ja tak niewiele żądam; lecz od twej bladej twarzy, taki dziwny chłód wieje....

Hugo (*po chwili milczenia, patrząc uważnie w twarz Sampierro—mówi:*)

Czy ty wiesz, że Carlo Doria kocha szalenie Vaninę Ornano?

Sampierro

Wiem. Wiem, także, iż prosił o rękę jej, ale mu dała odmowną odpowiedź.

Hugo

Doprawdy? Tego nie rozumiem.... ha, fantazyja, kaprys niewieści—może się jej znudził; wiem, że była nań bardzo łaskawą.

Sampierro

Łaskawą?... dla kogo łaskawą?

Hugo

Dla młodego i pięknego Dorii.

Sampierro

Hugo—powtórz.

Hugo

Tak—dla Dorii! Raczyła go łaskawie przyjaźnią swą darzyć.

Sampierro (*z uniesieniem*)

Człowieku! jakże strasznie brzmią twe zimne, niemiłosierne słowa.

Hugo

Cóż w nich tak straszego?

Sampierro

Ja nie wiem.... ton, z jakim je wymawiałeś, krew mi w żyłach ścinał.

Hugo

Więc dajmy temu pokój—nie będę już nic mówił.

Sampierro

Nie będziesz... ale mógłbyś, gdybyś chciał... Oh, Hugonie, wiem co ci winien jestem. Wiem, że z płonącego ojców moich domu, wynosząc mnie, uratowałeś mi życie, i gdy cię ścigali żołnierze genueńscy, nie siebie, ale mnie bronili. Wiem, że mnie wychowałeś, że mi powiedziałeś kim jestem, i dziejami mego rodu karmiłeś młodego ducha, póki sił do lotu orlego nie nabrał. Wiem, że gdy już jako młodzieniec rzuciłem się na oślep w odmęt walk krwawych, ty bywałeś tarczą moją, ty piersią swą zasłaniałeś mnie, a niejedna blizna

na niej jest od tych ciosów, co na moją nierozważną głowę spaść miały. Pomiedzy mną a tobą istnieje związek silniejszy niż między ojcem a synem, bo nietylko zawdzięczam tobie życie, ale winienem tobie sławę i miłość moich Korsykańców—a jednak, słuchaj Hugonie, gdy mówisz słowa pełne straszego jadu, o tej, którą ja czezę na kłęczkach jak Madonnę Loretańską, to gotów jestem zapomnieć o wszystkim, co nas łączy, i rzucić się na ciebie....

Hugo

Rzucić się na mnie? ty, ty, Sampierro?

Sampierro

Ojczel! przebacz. Straszne wyrzekłem słowo—ale szalony jestem—przebacz mi.

Hugo

Więc dobrze, zapomnę o tem, co jak szalony wyrzekłeś, i nigdy już o niej nie będziemy mówili, tylko mi pozwól jedno zrobić zapytanie. Czy to małżeństwo swoje uważasz za rzecz konieczną, i dlaczego się teraz właśnie chcesz ożenić?

Sampierro

Dziwne, zaprawdę, dziwne pytanie. Wszak powiedziałem ci, Hugonie, że ją kocham.

Hugo

To ważna przyczyna!

Sampierro

Czy ty nigdy nie miałeś rodziny? Czy ciebie pierś niewiasty mlekiem nie karmiła? Czy ty wyrosłeś na skale jakiej z kropli krwi dawnych Titanów? Czy w łonie swem nie masz serca?

Hugo

Ja, nie mam serca—prawdę wyrzekłeś Sampierro. Niegdyś, o dawno, bardzo dawno temu, miałem i ja ludzkie serce w piersi—umiałem się uśmiechać, płakać i kochać jak inni.... lecz potem, potem przyszło inne życie — ja serce wydarłem z piersi, spaliłem w płomieniach wielkich myśli, popioły uczuć rzuciłem na wiatr, i wiatr je rozniósł w cztery świata strony!

Sampierro

A przecież dla mnie zawsze byłeś tak dobrym tak mnie zawsze kochałeś....

Kugo

Nie kochałem cię wcale. Powinnością moją było wychować cię na bohatera Korsyki, na mściciela krzywd naszych—więc spełniłem tę powinność zimno, surowo, wiernie. Powinnością mą było strzedz cię — strzegłem, wskazywać ci wzniosły cel życia — wskazywałem.... lecz serca w tem nie szukaj... daremnie! Człowiek z sercem wart tyle, co miecz złamany.

Sampierro

Jednak mówisz, że niegdyś innym byłeś....

Hugo

O, nigdy! Niegdyś, młodzieńcem będąc, Hugo Colonna miał serce.... i wtedy-to pokochał czarnoooką dziewczynę i wziął ją do swojej chaty.... I wtedy, słuchaj—na piersiach tej cudnej dziewczyny, w długim, szczęśliwym, oh, szczęśliwym śnie, zapomniał że Korsyka jest pod jarzmem Genui. Zapomniał! Chatę mą, ów przybytek szczęścia i miłości, naszli żołnierze Genui... żona zginęła w mękach... syna mi utopiono.... dziecko z kolebki wyrwane rozbito o skałę. Ja, skrepowany łańcuchem, patrzyłem na to wszystko — tak patrzyłem — musiałem patrzeć, oczu ani zamknąć, ani odwrócić nie mogłem; grozą rozwarte wyłaziły prawie z osady swej.... i wtedy-to serce moje rozpadło się w kawały. Razem z innymi jeńcami zapędzono mnie na okręt, który zawieź nas miał do Genui. W drodze zerwałem więzy; rzuciłem się w morze. Fale jego, jak rumaki spienione, niosły mnie ku brzegom ojczystym. Lecz na tych brzegach, na ziemi mojej rodzinnej nie było nawet mogiły dawnego szczę-

ścia, nie było kości moich ukochanych.... nie miał kto ich pochować.—Psy, kruki, orły, poroznosiły je po górach i chyba kiedyś, w dniu sądu, Bóg je odzyska. Wtedy-to, kiedy stanąłem na miejscu, gdzie niedawno przedtem jeszcze, była chata moja, wtedy, kiedy zobaczyłem, że nie mam nawet grobu; na którymbym się mógł pomodlić, wyrzuciłem z pierśsi ostatnie szczątki umarłego serca.

Sampierro

Hugonie—nie znałem tych strasznych dziejów; przebac mi, że takie wywołałem wspomnienia.

Hugo

To nie wspomnienia, Sampierro! Wspomnienie, to nieproszony i niespodziewany gość z przeszłości, co czasem odwiedza nas, niosąc z sobą woń kwiatów szczęścia, albo łzę błyszczącą; mnie pamięć tej chwili nie opuszcza nigdy, nigdy, od tylu lat. Tak być musi, bo tak być powinno; zapomnieć ani chcę, ani mogę, choćbym chciał. Myśl o owej strasznej chwili, kiedy zdruzgotano okrutnie szczęście moje, i zemsta, osiadły w miejscu pustem, gdzie niegdyś było serce. Prócz nich niema tam nic. Ciebie wychowałem jako narzędzie zemsty. Przed dwustu przeszło laty jeden z przodków moich, także Hugo Colonna, wygnał z Korsyki Arabów; ród mój był szanowany, wybierano z niego wodzów—ale ja stary już, bezsilny i bezdzietny, i ciebie na wozdza Korsykanów przeznaczyłem.

Sampierro

Czyż nie odpowiedziałem godnie zaufaniu twemu?

Hugo

Bo też czoło namaściłem ci krwią ojca twojego; broń wyostrzyłem na grobach zamordowanych braci; do snu cię usypiałem dziką pobudką wojenną, aby ci się walki śniły; poilem cię gorzkimi łzami i wychowałem cię na młodego sokoła, przed którym całe stada wron genueńskich pierzchają. Teraz — wszystko przepadło.

Sampierro

Czy myślisz, że się sokół w słowika zamieni, i kwiląc słodkie pienia, od lotu w górne szlaki odwyknie? Myślisz, że mi zabraknie siły i dzielności? że ramię moje osłabnie w słodkich ramionach Vaniny?

Hugo

Młodzieńcze, pierś ludzka jest za ciasna na wielką miłość i na wielką nienawiść: nie pomieszczą się one razem. Już twoja siła stracona, młody Samsonie! Sokoli wzrok twój, zamglony serca tęsknotą, od pola bitwy odbiegnie w tę stronę, gdzie ukochana. Zapragniesz spokoju, zapragniesz wytchnienia, pieszczot żony swojej, i staniesz się takim, jak wszyscy, jak ja sam czas jakiś byłem; a nie będziesz już duchem zemsty, nie będziesz aniołem zniszczenia, jakim cię Bóg mieć chce.

Sampierro

Nie Bóg, ale ty, Hugonie, chciałeś, aby nienawiść i zemsta zamieszkały w mej pierśsi, jak puhacze zamieszkują posępne ruiny; lecz Bóg nad duszą moją rozciągnął niebo miłości.

Hugo

Jedyną twoją miłością powinna być Korsyka.

Sampierro

Ja kocham ją.

Hugo

Jej wzgórze niech ci zastąpią rozkosze u pierśsi kochanki i do nich przytul gorące usta swoje.—Zielone liście palm i paproci naszych, niech ci zastąpią złocisty warkocz dziewicy, i w miłym cieniu ich, złóż głowę swą do snu. Fale morskie, co szumią i jęczą u granitowych wybrzeży—niech będą lubej westchnieniem, i niech ci szeptać o ślubach twych z ukochaną. Ale precz z miłością niewiasty! i wyrwij, wyrzuć z serca to uczucie przekłętę!

Sampierro

Hugonie, przeciwko Bogu ty mówisz — wszak Bóg wlał to uczucie w pierś ludzką; młody jestem.

Hugo

Ho, ho, rozumiem dobrze, że młodość ma swoje prawa—lecz na to znajdziemy przecie radę. W Korsyce mamy dość dziewcząt: gdy zapragniesz, jak zwykle młody, pocałunków, niech pierwsza lepsza poda ci usta swoje; po każdej zwycięskiej bitwie weźmiesz conajpiękniejszą branżę do swego namiotu....

Sampierro

Przestań, Hugonie, proszę! Nie zatrzęs obrazu jasnej, przeczystej miłości.

Hugo (po chwili)

A więc ostatniem słowem pytam: nie zerwiesz z Vaniną Ornano?

Sampierro

Nie—dzisiaj zaślubiam ją.

Hugo

Biada ci, nieszczęsna Korsyko! Biada ci, żałosna wdowo! Biada ci, niewolnico, w sromotne okuta pęta! Biada ci, biada,—bo syn zamordowanych, mściciel krzywd twoich i hańby, wyrzekł się ciebie, dla pięknych oczu Vaniny Ornano! Ha, ha, ha....

Sampierro

O nie, Hugonie, nie wyrzekł się syn matki swojej. Jak dawniej tak i teraz bronić będę gór naszych; jak dawniej tak i teraz imię moje przerywać będzie sen mieszkańcom Genui, i na wspomnienie Sampierro pobledną ich lica: ale na sześć miesięcy zawarty jest rozejm; Korsyka, długą walką zmęczona, stanęła wsparta na mieczu, aby krew z ran otrzeć i zaczerpnąć tchu. Gdy czas rozejmu upłynie, to na pierwszy dźwięk wojennego rogu, na pierwszy okrzyk: „do broni,“ będę pomiędzy wami.

Hugo (drwiąco)

Na pierwszy dźwięk rogu—wątpię.

Sampierro

Na pierwszy dźwięk rogu, na pierwszy okrzyk „do broni“ staję pomiędzy wami—albo, na czele was.

Hugo

Wątpię—nie tak to łatwo, młodzieńcze, oprzeć się łzom i uściskom żony.

Sampierro

Innym może—nie mnie! Masz słowo moje.

Hugo (odsuwa rękę Sampierro)

Nie chcę słowa, nie przyjmuję ręki. Nie chcę, aby wolnymi dowodził niewolnik własnego słowa! Jeśli dasz słowo, to staniesz, ale myśl twoja, duch twój, od nas odbiegnie....

Sampierro

Myśl moja ani na chwilę nie odbiega od was. Tu nawet, otoczony życiem całkiem dla mnie nowem; tu, gdzie dopiero poznałem nieznane nam sztuki piękne—owe cuda dłuta i pendzla, wspaniałe dzieła najpierwszych mistrzów; tu gdzie na placach publicznych lud powtarza stanze Petrarki, Tassa i Danta; tu w tem miejscu często, o często myślałem o mojej Korsyce. Chcę jej dzikie oko rozświetlić blaskiem nauki; chcę na skronie jej dać złoty wieniec sztuk pięknych; chcę by i ona świeciła, jak świeci światu Rzym, Florencia, Wenecya.

Hugo

A co nam po tem wszystkim? Nauki i sztuki nie potrzebujemy wcale—broni nam tylko dostarcz, nim ta, którą mamy w ręku, wyszczerbi się i złamie. Innych darów zza morza od ciebie nie chcemy.

Sampierro (po chwili)

No, a teraz, Hugonie, pójdz ze mną do pałacu....

Hugo

Nie pójde. Ptak nocny ucieka przed światłem.

Sampierro

Chciałbym.... pragnąłbym, żebyś poznał....

Hugo

Poznam ją później. Idź do pałacu; ja nad brzeg morza powrócę. Widziałem małą o dwóch żaglach łódkę; może to z Korsyki gońce... Już pięć dni jak odpłynąłem; wiatr wschodni rzucał mi słoną pianę w oczy i nie pozwalał do tych brzegów przybić. Pięć dni, pięć długich dni: kto wie co się tam dzieje?

Sampierro

Nie — wiesz przecie, że zawieszenie broni trwa jeszcze.

Hugo

Prawda—ale.... ale ty, widzę, niecierpliwie mnie słuchasz—pilno ci do pałacu—idź więc.

Sampierro

Idę — ale z tą nadzieją, że choć trochę później przyjdiesz.

Hugo

Czy tam przyjdę, nie wiem; w każdym razie—dowidzenia! (Sampierro ścisła go za rękę i idzie w stronę pałacu, na prawo.—Hugo sam, chodzi zamyślony). Jakaż dziwna, jak niespodziewana zmiana w duszy tego człowieka! I to on — on, co dotąd nie miał w umyśle innego celu, prócz walki, w pierśsi innego uczucia, prócz pragnienia zemsty! Teraz wyleciał mi w świat obcy; blaski przepychu, cuda sztuki, ułudne czary piękności otoczyły dokoła surową duszę młodzieńca i rozbudziły w niej nieznane dotąd myśli, uczucia i pragnienia. Już mu dom ojców za lichy, już obyczaje nasze za surowe.... Chce nas przemienić, oświecić, ułagodzić! Chce, żebyśmy się stali giętkimi, układnymi, jak kupcy albo dworacy.... Nie, nie, sosny nasze giąć się nie dadzą, niby preciki wikliny! Ja nie chcę żadnej zmiany, żadnej! Biada tym, co w ciężkim pochodzie do szczęścia wszystkich zrywają kwiaty przydrożne i zdobią nimi swe pęta! Ah! nie omyliło mnie przecucie... Oto Paolo nadchodzi. (Lorenzo wprowadza Paola z lewej strony, mówiąc):

Lorenzo (do Paola)

Oto jest, szlachetny panie, Hugo Colonna, a mój pan musi być w zamku—uwiadomię go o waszem przybyciu. (Odchodzi w stronę pałacu).

(Dalszy ciąg nastąpi).

SASIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie).

Korzystając z tej chwili wzruszenia, lękając się jakiego zwrotu i zmiany w uczuciach, nalegała tak pani Erazmowa na teścia, że się dał tegoż dnia wziąć i zawieźć do ich domu. Morawiec tylko z sankami już się nie pokazał. Stary milczał przez całą drogę; otulała go synowa, a gdy późno w noc przybyli do dworku i starzec wysiadł z nią, a wybiegający naprzeciw Erazm zobaczył ojca—padł, jak stał przed nim, i zemdał.

Wzruszenie było zbyt wielkie. Ostatek żalu, jaki miał w sercu Hojski, ten dowód miłości synowskiej rozproszył.

Wieczór to był szczęśliwy, gdy stary ojciec zasiadł pomiędzy nimi, choć jeszcze nieswój, milczący, upokorzony tem, że go niewiasta zwyciężyła—ale już ściskający syna i niekiedy uśmiechający się do niego. Leonilla umiała mu też się nie narzucać, zostawić go swobodnym, dać mu czas do oswojenia się z sobą, aż Hojski wkońcu i rozmowniejszym się stał i prawie wesołym.

Zaledwie się to stało, posłano umyślnego po pannę Blandynę, i choć noc była, przybiegła uradowana, aby na ten cud patrzeć. I ona też bratu do nóg padła, a razem z nią i syn i synowa powtórnie mu dziękowali. Hojski już się był zrezygnował, jednak widać w nim było niepokój.

Gdy Erazm go do sypialni odprowadził sam, Strukezaszyc jakby zgłodniały, pochwycił go w objęcia i rozplakał się, szlochał a ścisnął syna—nie niemowię. Wszystkie zdawało się szczęśliwie skończonym. Nazajutrz Hojski zaprzęgnął wrócić do Sierhina, wprzód jednak pannie Blandynie powiedział:

— Niech oni odemnie naraz nie wymagają za wiele! Darowałem winy, przyjmuję synową, bo pocziwa jest i odrodziła się od ojca: nie zmuszajcie mnie tylko z nim się kumać; ani się klócić nie będę, ani mogę kochać. Jemu i mnie z tem lżej będzie. On—jemu się zdaje, że on pan, ja—prosty szlachcic. Niech każdy u siebie siedzi.

Ja go znać nie potrzebuję, ani on mnie.

Żądanie to było rozkazem: przyjęto je w mileczeniu. Tryumfująca Leonilla zaraz po wyjeździe Strukezaszycy kazała zaprzęgać i pojechała do Łopatycz.

Po wnijsieciu jej do domu, Czemyryński poznał, z chodu, głosu i wesołości, że pieszczocha była w dobrym humorze.

Wyszedł naprzeciw niej, radując się też.

— Cóżże to tam tak nagospodarowała—odezwał się, ściskając ją, że tak ci się oczy świecą i usta śmieją?

— Spodziewam się, że dobrze nagospodarowała—odparła Erazmowa—serce mi w piersi skacze.

— No, czegoż?

— Wie ojciec! Strukezaszycy wyszukałam, wzięłam go szturmem i zawiozłam do Sierhina. Uściśkał mnie i ucałował, przebaczył Erazmowi!

Czemyryński skoczył jak oparzony.

— A to masz się z czem chwalić! — krzyknął: — Ledwieśmy odetchnęli, że się go pozbyła okolica. Tfu! potrzebna rzecz była! Gadaj, jak-że się to stało?

Nadeszła matka; Leonilla, wcale ojcowską burą nie zmieszana, poczęła opowiadać historią całą.

Gdy przyszło do tego, że się Hojskiemu do nóg rzuciła, Czemyryński się za włosy pochwycił.

— Szalona! — krzyknął. — Jemu, do nóg, temu człowiekowi co na moje życie czyha! Niech-że cię on ma za córkę, a ja cię nie chcę! Wstyd mi zrobiłaś.

Niezważając na to i Leonilla i sędzina rzuciły się na starego, który z wielkiego gniewu prawie przytomność postradał. Kosztowało to wiele, zanim go udobruchano. Widać jednak było z usposobienia, że do przejedwania między starymi nieprzyjaciółmi jeszcze bardzo daleko.

Czemyryński zaklął się, że jakoż ywo do Strukezaszycy nie pojedzie, niewiedząc o tem, że Hojski sobie też samo warował.

— Mimo mej woli związały się dzieci nasze—zawołał sędzia—ja rozrywać ich nie myślę; ale mnie to nie zmusza żyć z człowiekiem, którego ja nienawidzę i który mnie nienawidzi.

Cały dzień upłynął na uspakajaniu Czemyryńskiego, który do córki, za to wydobyć Hojskiego z jego pustelni, miał żal srogi.

— Złe ci było? potrzebowałaś go koniecznie? — powtarzał. Niechby sobie był siedział w lesie; przynajmniej-byśmy spokój mieli. Zacznie gospodarować, to się znowu za łby weźmiemy!

Dano czas wyburzyć się Czemyryńskiemu. W kilka dni wyraził obawę, żeby mu czasem Strukezaszycy nie przywieźli, żeby go nie przyjechał przeproszać. Ks. ex-definitor rozśmiał się na to.

— Niech pan sędzia będzie spokojny: on pono pod tym warunkiem z dziećmi się pojednał, aby go to nie zmuszało do żadnych innych kroków.

— A to miał rozum! — odezwał się Czemyryński—

ani on mnie, ani ja jego znać nie chcę. Przeszłości się nie zapomina, -- to darmo.

Zostało więc jak było: Łopatycze z Sierhinem się nie znały, choć państwo Erazmowstwo oboje i tu i tam bywali. Unikali mówienia przed sędzią o Strukezaszycy i nawzajem. Hojskiemu trzeba oddać tę sprawiedliwość, iż on szczerze i statecznie unikał antagonisty; sędzia, przeciwnie, naprowadzał rozmowę na Hojskiego, dopytywał o niego, widać było, iż rad był przywieźć do tego, aby mu się szlachcic upokorzył i pierwszy krok zrobił.

I tak się to ciągnęło aż do Wielkiej Nocy. Zżył się ks. Dagiel, obu otwarcie czyniąc wymówki.

— Do czego to podobne! — mówił — dzieci się poobrały, processa umorzona, a wy ani sobie przebaczyć, ani się znieść nie możecie!

— Cóż? ja pierwszy mam mu głowę do stóp znieść za to, że ta hołota córkę mi wzięła i pięć wiosek po niej w posagu? To mi się podoba!

— Mój panie sędzio — odparł ks. Dagiel, jeżeli szczęście i godność na wioski chcesz mierzyć, pozwól powiedzieć, że Hojskiego Sierhin i kapitały pewnie drugie tyle warte.

— Ale co Czemyryński, to nie Hojski! — mruzczał sędzia.

— Panie sędzio — rzekł proboszcz — na sądzie ostatecznym o genealogią pytać nie będą, a kto więcej miał miłości w sercu, ten zwycięży.

— At! — mruknął Czemyryński.

Z nim jednak proboszcz mógł mówić i dysputować, gdy ze Strukezaszycem gorzej było. Dawał sobie mówić, nie odpowiadał, nie sprzeczał się, — milczał, a przekonać go, zmiękczyć nie było sposobu.

Ażby choć pozornie zbliżyć nieprzejednanych, musiał ks. Dagiel, — zdaje się w porozumieniu z sędzią i p. Blandyną, — użyć niewinnego podstępku. Mówiliśmy jak skromne życie prowadził i w jaki sposób na probostwie przyjmował.

Zwykle też i na Wielkanoc święcone ks. Dagiela, o którym w domu nie było komu myśleć, składało się z tego, co parafianie przysłali. Była to najosobliwsza zbieranina najwytworniejszych ciast i najskromniejszego, zakalcowatego pieczywa ubogich szlachcianek.

Prawdziwie — co Bóg dał — ustawiano na stole w miarę jak przychodziło, skromne serki i kukietki masła, malowane i białe jaja, kiełbaski wszelkiego kalibru, a obok mazurki wykwiłtne i baby, co do pułapu niskiego sięgały. Wino ocierało się stare o czystą gorzałkę. Ks. Dagiel się na tem nie znał, i prosił gości, aby używali daru Bożego, jak się komu podobało. — Organista tego dnia stał tu na równi z jaśnie wielmożnym dziedzicem, bo po opłatku na wigilię, po święconem jajku, czuli się wszyscy jednemi dziećmi, krwią Chrystusową odkupionemi. Nie wszystkim to może było w smak, ale każdy się do religijno-narodowego obyczaju akomodował.

Chrystus się nam narodził! i ścisnęli się wszyscy, a wół i osioł u żłobka Bożego, miały swe znaczenie przy Trzech Królach. Chrystus zmartwychwstał — ścisnąo się, zapominając uraz, dystynkcji i stopni.

Zdawało się zapewne ks. Dagielowi, że takiego dnia, zbliżając do siebie zawziętych wrogów, najłatwiej ich zmusić będzie można, aby sobie ręce podali.

Pierwszy raz od czasu jak był proboszczem, ks. Dagiel, jeżdżąc dla święcenia ciast, wszystkich zapraszał do siebie, na jajko święcone.

— Proszę i obługuję wstąpić do mnie na probostwo — mówił — nie pretenduję, abyście się u mnie nasycili, bo u mnie święcone zbierane i nieparadne, ale, jeśliś wam służąc, zasłużył na to, — uczciejcież swemi odwiedzinami na Alleluja!

Niepodobna było odmówić. Czemyryńskiemu na myśl przyszło: a nuż się spotka ze Strukezaszycem? Hojski też wzdrygnął się na to: a nuż mu się sędzia nastęrczy? Cóż było robić? Mogli się milcząc pominąć. — Tymczasem ks. Dagiel inaczej to sobie ułożył; chciał mieć świadków wielu i ufal w Boga, że w dzień uroczysty, po spowiedzi wielkanocnej, gdy do serc przemówi, te mu się otworzą.

Państwo Erazmowstwo też w pomoc przybyć miały, sędzina i panna Blandyna, choć nieśmiało, obiecywały swą kooperację. Nadszedł ten dzień

i po nabożeństwie posypało się, co żyło, na probostwo. Święcone, choć jak zawsze eklektyczne, trochę staranniej jakoś i z pewnym ustawione było smakiem.

Ks. Dagiel z talerzem jaj, pokrajanych pełnym, stał u progu.

Zjawił się pierwszy Czemyryński, którego długą przemową i życzeniami tak umiał proboszcz utrzymać przy sobie, aż nadechodzącego Strukezaszycy zobaczył. Ten zwolnił kroku: cofnąć się nie było sposobu; inni goście nadechodzący, może do spisku należący, popychali.

Stało się więc, że Czemyryński, jeszcze trzymając na widelcu jajko, stał, gdy Hojski zmuszony został próg przestąpić. Niepuszczając sędzię, który się zacerwienił jak burak — ks. Dagiel podał talerz Strukezaszycowi.

— Niech-że ten dzień uroczysty — zawołał — w którym pamiętkę wielkiej tajemnicy wiary naszej obchodzimy, dzień chwalebny Zmartwychwstania Pańskiego, będzie dla nas dniem miłości i zgody! Ufam w miłosierdziu Bożem, że to jaje poświęcone biorąc z jednego talerza, ojcowie, których dzieci u ołtarza sobie przysięgły, dawną niechęć porzucą i — pojedną się. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

To mówiąc, zęgnął obu stojących naprzeciw siebie, a w tem Erazm z żoną zbliżyli się i ukłękli między niemi, młodzi zaś goście huknęli głosy ogromniemi:

— Vivat! zgodą! zgodą!

Leonilla wzięła rękę ojca; Erazm, całując, prawicę Strukezaszycy, pochwycił — i wyciągnęli je ku sobie, tak że się połączyli.

Czemyryński miał łzy na oczach, Strukezaszyc w końcu się też rozczulił. — Uściśnęli się!

Ks. Dagiel z radości wielkiej obu ich po rękach całował. Z plebanii wprost wszyscy pojechali do Łopatycz na święcone, potem do Sierhina.

I — powiecie sobie kochani czytelnicy — że wszystko zapomniane, zatarte, w przepaść rzucone zostało, a sędzia ze Strukezaszycem żyli jak dwaj bracia rodzeni.

Radbym ja to potwierdził, ale sumienie zmusza wyznać, że, choć między Łopatyczami a Sierhinem panowała harmonia i nawzajem się odwiedzano, a przy chrześcinach i na świętach, spotykali się pięknie z sobą, sędzia i Strukezaszyc, dowiadując się o zasiewy, o kosowicę i kopy: żeby jednak się zbyt kochać mieli — nie powiem.

Ludzie jesteście. Czemyryński zawsze koso patrzył na Hojskiego, Strukezaszyc, mówiąc o tamtym, szydersko się uśmiechał.

— Pęcherz nadęty! — szeptał — zawsze mu się śni, że go Pan Bóg z lepszej gliny ulepił.

— To jadowity człek ten Hojski, — mówił Czemyryński — mruk, nawet przy kieliszku się nie otworzy, chyba gdy do passy przyjdzie. Nigdy nie można wiedzieć co on myśli. — Co to za spojzenie! co za uśmiech!

Najpocieszniej było widzieć ich, gdy z sobą razem być musieli, i dla oka ludzkiego konwersować poufale. To ten ramionami zżymnął, to drugi splunął, to się jeden uśmiechał, to przeciwnik marszczył. Siadłszy z sobą do maryszasza, bo i to się trafiało, znajdowali w kartach i grze mnogie powody do przekąsów i sporu; ale się mitygowali.

Czemyryński, którego to zajmowało i było dlań niemal zabawką, nie unikał spotkania ze Strukezaszycem; Hojski usuwał się, jak mógł.

Dopiero trzeba było ciężkiej choroby Czemyryńskiego i łez pani Erazmowej, z obawy o ojca, aby Hojski się poruszył, bo synową bardzo kochał.

Sam naówczas po doktora pojechał i przywiózł go, koło chorego niebezpiecznie, krzątał się i służył mu, a Czemyryński, wstawszy szczęśliwie z łóżka, z nienawiści też został uleczonym. Strukezaszyc, który mu dał dowód pocziwego serca, sam też do tego, któremu życie ocalił, przyłgnał.

Zmienił się ich stosunek na otwarty i przyjacielski na starość do tego stopnia, że sobie dawne swe właśnie, śmiejąc się, przypominali.

Na tem pojednaniu najgorzej wyszedł komornik Kaczor, którego obaj na oczy widzieć nie chcieli. Stracił wszystkie dochodziki, jakie dawniej z nich

ciągnął, i gdy o nich w sąsiedztwie przy nim ma-
wiano, głową potrząsał, mrużąc:

— *Ambo meliores!*

KONIEC.

OLBRZYMIĘ SŁOŃCE

z dzieła R. A. Proctora:

„Our place among infinities“.

(Dalszy ciąg).

Wielu ludzi bardzo się temu dziwi, że astronomowie popełnili błąd o 5 milionów kilometrów w obliczeniu odległości słońca od ziemi, pojąc nie mogąc, iż wogóle błąd taki popełnić było można; kiedy tymczasem podziwiać właściwie należy astronomów, iż się tak dalece do prawdy zbliżyli, że pomyłka przez nich popełniona zaledwie 5 milionów kilometrów wynosi. Jeżeli te 5 milionów kilometrów w podziwieniu niektórych wprawia, cóż dopiero powiedzieć o pomyłce na biliony kilometrów ocenianej, a popełnionej właśnie w obliczeniu odległości Syryusza od ziemi! Dawniej sądzono, iż odległość tej gwiazdy wynosi 210 bilionów kilom., kiedy tymczasem najnowsze badania dowiodły, iż dochodzi ona tylko do 130 bilionów kilom. Sama ta różnica jest pół miliona razy większą niż cała odległość ziemi od słońca. Czytelnik zagadnąć nas może: czy też astronomowie przy tych obliczeniach czego ważnego nie pominieli; będąc zaś nieobznajomionym z zagadnieniami, które się astronomii do rozwiązania nastreczają, pomyśli na chwilę, iż słuszność mają ci, którzy na jej pracowników skargi zanoszą i twierdzą, że wszelkie dawane im zapomogi ze strony rządów są tylko straconemi pieniędzmi. Kilka słów wystarczy, żeby wszelkie wątpliwości pod tym względem usunąć.

Chcąc odległość gwiazdy jakiej obliczyć, astronom powinien przedewszystkiem zbadać czy zmienia ona swoje rzekome miejsce na kuli niebieskiej w przeciągu jednego roku. Ziemia w rocznym swoim obiegu obraca się ciągle naokoło słońca; ztąd astronom widzi każdą gwiazdę z punktu, który ustawicznie swoje miejsce zmienia, czyli, że każda gwiazda w rozmaitych porach roku, w rozmaitych kierunkach bywa widziana; ale większość gwiazd tak bardzo jest od nas odległa, że ta zmiana kierunku jest prawie niewidoczną. U Syryusza zmiana ta właściwie zaledwie dostrzegać się daje i oto wszystko co wiemy w tym względzie. John Herschel powiedział: „Odległość Syryusza i Arcturusa, dwóch najjaśniejszych gwiazd na naszej półkuli, nie da się nawet w przybliżeniu oznaczyć“. Roczne przesuwanie się Syryusza można sobie w następujący sposób przedstawić: Podzielmy rzekomą średnicę księżycą na 3,800 równych części, to największe przesunięcie się Syryusza wyrówna takiej właśnie części. Zdaje się, iż Syryusz porusza się po małej owalnej linii, którego-to owalu większa średnica wynosi ledwie 3,800-tną część rzekomej średnicy księżycy. Otóż błąd w dawniejszych obliczeniach na tem polegał, że przypuszczano, iż owo przesuwanie się wynosi 6,300-tnej część średnicy księżycy, a zatem różnica pomiędzy temi dwoma przypuszczeniami, równa się 9,500-tnej części rzekomego promienia księżycy. Jeżeli czytelnik podzieli średnicę księżycy na 100 części, a każdą z tych znowu na 100 części, to będzie miał pojęcie o małości błędu, jaki astronomowie przy dawniejszych obliczeniach popełniali. Najbardziej uzasadnionem jest to, że prawda znajduje się pośrodku i że istotny błąd dawnych i dzisiejszych astronomów wynosi tylko połowę tej nieznacznej wielkości.

Zgodnie z tem także przypuszczamy, że liczba przedstawiająca odległość Syryusza jest średnią pomiędzy dwiema powyższymi, to jest wynosi 160 bilionów kilometrów.

Gdyby astronomowie mogli zmierzyć tarczę Syryusza, to, wzięwszy w rachubę jego odległość,

mogliby w bardzo prosty sposób prawdziwą jego średnicę obliczyć. Ale w najsilniejszych nawet lunetach Syryusz przedstawia się tylko jako punkt świecący, a astronomowie wiedzą dobrze, iż nawet ta mała tarcza Syryusza nie jest prawdziwą, lecz tylko pozorną. Wilhelm Herschel powiada, że kiedy Syryusz zaczął się pokazywać w polu jego czterdziesto-nożnego (12-metrowego) reflektora, światło jego wyrównywało światłu poprzedzającemu wschód słońca, a kiedy w zupełności na pole reflektora wszedł, to natężenie jego światła tak silne było i tak się zbliżało do światła słonecznego, iż tylko z wielkiem wysileniem oka można było gwiazdę obserwować. W wielkim teleskopie Rosse'a przedstawia się Syryusz jeszcze jaśniejszym, a jednakże przez żaden z tych instrumentów nie można było tarczy w tej gwiazdzie się dopatrzeć.

Nie będziemy się dziwić, jeżeli rzecz tę bliżej rozpatrzyć zechcemy. Widzieliśmy powyżej, że długa droga, jaką ziemia nasza przebiega, stanowi przyczynę, dla której nam się wydaje, że Syryusz o 5,000-ną część rzekomej średnicy księżycy się przesuwa, jeżeli weźmiemy średnią pomiędzy wyżej przytoczonymi liczbami. Co znaczy, że cała długość drogi, jaką ziemia przebiega, obserwowana z Syryusza nie wydaje się dłuższą nad 5,000-ną część rzekomej średnicy księżycy, chociaż właściwie wynosi ona 300 milionów kilometrów i naodwrot kula mająca 300 milionów kilometrów średnicy, obserwowana z ziemi i będąca tak od niej odległa jak Syryusz, musi nam się wydawać tak małą, jakgdyby jej średnica wynosiła 5,000-ną część średnicy rzekomej księżycy. Jakkolwiek wielką jest objętość Syryusza, to żaden astronom nie odważy się ani na chwilę przypuścić, ażeby miał do czynienia z ciałem tak kolosalnych rozmiarów. Kula taka miałaby średnicę 210 razy większą od średnicy słońca, a 9,500,000 większą objętość, co byłoby w wysokim stopniu nieprawdopodobnem. Jeżeli zaś średnica Syryusza była 10 razy większą od średnicy naszego słońca za czem i objętość jego musiałaby być 1,000 razy większą od objętości słońca, to gwiazda ta, obserwowana z ziemi, miałaby rzekomą średnicę 100,000 razy mniejszą od rzekomej średnicy księżycy i żadna ze znanych dotychczas lunet nie mogłaby nam ułatwić widzenia tak małej wielkości. Przy największem powiększeniu, jakie osiągnąć możemy za pomocą teleskopu Rosse'a, (mianowicie 6,000 razy), wielkość średnicy Syryusza wydałaby się nie większą jak 16-ta część rzekomej średnicy księżycy dla normalnego, dobrze widzącego oka; tymczasem silne światło Syryusza wyrównywa pełnemu światłu słońca, żadne zaś ludzkie oko nie mogłoby dojrzeć tarczy w ciele niebieskiem, którego średnica byłaby 16 razy mniejszą od rzekomej średnicy księżycy, a którego przytem światło wyrównywałoby światłu słonecznemu.

Możnaby się zapytać: z jakiego powodu astronomowie, że Syryusz jest ciałem daleko większym od naszego słońca?

Bezpośrednie określenie objętości Syryusza jest wprawdzie niemożliwe, można jednak z porównania światła, jakie od Syryusza i od słońca naszego otrzymujemy, wnioskować o wielkości tej gwiazdy. Potrzeba tylko zbadać, jak daleko od nas musiałoby być nasze słońce, gdyby świecić nam miało tak jak Syryusz, i odległość tę porównać z prawdziwą odległością Syryusza, żeby mózgiem ocenić czy Syryusz jest większy od słońca i jaka jest między nimi różnica?

Jedynie obliczenia, które tu mogą być pod uwagę wzięte, stanowią ostatnie i dokładne ocenienia stosunku światła księżycy w pełni do światła słonecznego i porównanie ze stosunkiem tegoż samego światła księżycy w pełni do światła Syryusza. Pierwsze obliczenie zawdzięczamy niezłomowemu fizykowi niemieckiemu Zöllnerowi, drugiego dokonał John Herschel w czasie pobytu swego na Przylądku Dobrej Nadziei. Według tych obliczeń 4,200 milionów gwiazd o świetle Syryusza dawałoby nam tyle światła, ile nasze słońce. Otóż odległość słońca od ziemi wynosi w przybliżeniu 150 milionów kilometrów, a prawdopodobną odległość Syryusza od ziemi oceniono także w przybliżeniu na milion razy 160 milionów kilometrów, stosunek zatem tych dwóch liczb jest mniej więcej 1 do $1\frac{1}{10}$ milionów; czyli że Syryusz jest tyle razy dalej od

nas położony aniżeli słońce. W odległości Syryusza światło słoneczne zmniejszyłoby się o kwadrat z ostatnio wymienionej cyfry, czyli byłoby $1\frac{2}{10}$ bilionów razy mniejsze i tyle kul wielkości i jasności świetlnej słońca musiałoby się znajdować w miejscu Syryusza, żebyśmy mogli tyle światła otrzymać, ile go nam słońce dostarcza. Poprzednio jednak widzieliśmy, że tylko 4,200 milionów ciał wielkości i siły światła Syryusza na ten cel potrzeba, a zatem w równej odległości światło Syryusza powinno przewyższać światło słońca o stosunek $1\frac{2}{10}$ milionów do 4,200, czyli powinno być 286 razy większe. Przypuszczając, że tak Syryusz jak i słońce jednakową siłą świetlną posiadają, czyli, że kilometr kwadratowy słońca taką samą ilość promieni światła wydaje, co kilometr kwadratowy Syryusza, to wypadła, że w równej odległości tarcza Syryusza 286 razy jest większą od tarczy słońca, a zatem średnica pierwszego jest 7 razy od średnicy drugiego większą. Biorąc za podstawę te liczby, które ze wszystkich są najprawdopodobniejszymi, otrzymamy, że objętość Syryusza jest 4860 razy większą od objętości słońca.

Przyjawszy dawne obliczenia odległości Syryusza, otrzymalibyśmy jako rezultat, że gwiazda ta 400 razy więcej światła wydaje niż słońce i że objętość jej jest 8,000 razy większą od objętości słońca, i takie też liczby podaje Sir John Herschel. Z drugiej strony, idąc za autorem dzieła p. t. *Inne światy*, wypadałoby, iż Syryusz wypromienia tylko 192 razy więcej światła niż słońca i że jest niewielej jak 2,688 razy od niego większy. Ale nawet gdyby i ten rezultat był prawdziwym, to podany na nagłówku przez nas tytuł byłby najzupełniej usprawiedliwionym.

Jedną tylko okoliczność mogłaby trafność powyższego rozumowania osłabić, mianowicie: możliwość, że Syryusz nie składa się z tych samych pierwiastków, co nasze słońce. Gdybyśmy nie byli w posiadaniu środków, które nas na ostatnim punkcie objaśniły, to moglibyśmy powątpiewać czy Syryusz jest ciałem rozżarzonem i przypuścić, iż jest tylko masą światła.

Jakkolwiek mało ma prawdopodobieństwa pojęcie o świetle bez ciała, któreby to światło wytwarzało, to jednak przypuszczenie takie przed niedawnym czasem uczynił dr Whewell w dziele swoim: *O wielości światów zamieszkałych*; postawił on zdanie, iż nie można o wielkości gwiazdy wnioskować z ilości światła, jakie ona wydaje.

Niemówiąc już o tem, że światło nie może istnieć, nie może być przesłane bez ruchu materialnych cząstek, że zatem wielka masa świetlna koniecznie jest potrzebna do istnienia światła, posiadamy środki przy pomocy których jesteśmy w stanie dokładnie zbadać części składowe gwiazd a zatem i Syryusza. Widmo (spectrum) Syryusza, t. j. pręgi koloru tęczy, na które światło tej gwiazdy w spektroskopie się rozszczepia, przedstawia pod każdym względem takie same własności co i widmo słoneczne, z czego wnosić możemy, że Syryusz jest, równie jak nasze słońce, żarzącą się masą, której światło nim się do nas dostanie, przez parę rozmaitych pierwiastków przejść musi. — Huggins, główna nasza powaga w takich rzeczach, w następujący sposób o Syryuszu się wyraża: „Widmo tej jasno-świecącej, białej gwiazdy jest bardzo silne, ale z powodu niewielkiej wysokości jej położenia obserwowanie delikatniejszych linii bardzo jest utrudnione przez ruchy w atmosferze ziemi“.

Istnienie trzech albo czterech znanych nam pierwiastków może być wykazane w atmosferze Syryusza, mianowicie: wodoru, żelaza, magnezu i sodu. Ale niezawodnie udałoby nam się wykazać w nim jeszcze wiele innych pierwiastków, gdyby nie okoliczności przez Hugginsa wzmiankowane, gdyż całe widmo zanieczyszczone jest wielką ilością słabych i delikatnych linii.

Badanie Syryusza za pomocą spektroskopu doprowadziło do bardzo ciekawego odkrycia dotyczącego ruchów tego potężnego ciała niebieskiego. Dawno już wiadano, że Syryusz znaczne ruchy w przestrzeni odbywa, gdyż astronomowie dostrzegli, że zmienia corocznie swoje położenie na widnokręgu niebieskim. Wspomnieliśmy już powyżej o małych, znacznych zmianach w położeniu w przeciągu jednego roku, o zmianach, których przyczynę stano-

wi roczny bieg ziemi naokoło słońca; obok tego jednak Syryusz zdradza się jeszcze ze swoim własnym ruchem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ

Z powodu licznych przeszkód, jakie Wystawa powszechna stawia zamiarowi kongresu kobiecego, w czasie tejże wystawy przez paryżki dziennik *Avenir des Femmes*, proponowanemu, a szczególnie z powodu trudności w znalezieniu odpowiedniego na ten cel lokalu — kongres odłożonym został do lata roku przyszłego.

Pani Magdalena Brès, używająca od lat kilku stopnia i przywilejów doktora medycyny w Paryżu, gdzie oddaje się leczeniu kobiet i dzieci, została obecnie mianowaną przez ministerium oświecenia publicznego doktorem artystek w dwóch teatrach paryżkich: Théâtre Historique i Du Châtelet.

Angielka, Mrs Kingsford, złożyła przed Paryżkim fakultetem medycznym egzamin z uznaniem: „Très bien satisfait“.

Pani Hess, szanowna założycielka francuzkiego stowarzyszenia: „Société d'Encouragement au Bien“, którego zacna działalność rozszerza się po całej przestrzeni Francji, została zaszczyconą przez nowego papieża rzadką dla kobiety oznaką godności: orderem Grobu Pańskiego.

W czasie Wystawy Powszechnej zawiązało się w Paryżu stowarzyszenie kobiet wszelkiej narodowości, oddających się studjom wyższym. Stowarzyszenie obowiązuje członków swoich do zbierania się co miesiąc na naradę i udzielania sobie wzajemnych o położeniu swem wiadomości.

Redaktorka włoskiego czasopisma dla kobiet, poświęconego sprawom rodziny i wychowania p. t. *Cornelia*, signora Folliero de Luna, zwróciła się listownie do ministra oświecenia publicznego z uwagą: o ile w kraju tak przeważnie rolniczym jak Włochy, szkoły agronomiczne dla kobiet są niezbędną potrzebą ogółu. W odpowiedzi na tę odczwę, ministerium poleciło tej pani udać się na Wystawę Paryżką, w celu zbadania reprezentowanych tamże francuzkich szkół agronomicznych i złożenia następnie ministerium owocu studjów, w memoryale, któryby wykazał: w jakim mianowicie kierunku i według wzorów jakich byłoby najkorzystniej agronomiczne szkoły włoskie dla kobiet urządzić? Jest to, jak piszą dzienniki włoskie, pierwsze w czasach nowożytnych Włoch powierzenie kobiecie jakiegoś zlecenia urzędowego.

Marya Marasi, w młodości swej literatka włoska, umierając zapisała 2,000 franków jako premium za najlepsze dzieło traktujące o naukowem i religijnem wychowaniu dziewcząt. Książka powinna się odnosić do Włoch jedynie i być pisaną w języku włoskim.

Cornelia donosi, że stałe odczyty i wykłady, stanowiące przyczynę do wyższego wykształcenia kobiet, urządzają się w Rzymie przez uczonych i professorów tamtejszych zakładów naukowych, aby rozpocząć się mogły z nadchodzącym rokiem szkolnym. Królowa Małgorzata dała temu ruchowi początek i przyrzekła wspomagać swem poparciem szlachetne usiłowania.

Medyolańska Szkoła Przemysłowa dla dziewcząt, prowadzona przez Enrichettę Montalenti, liczyła w roku zeszłym 197 uczennic. Rachunki i utrzymywanie ksiąg handlowych, malowanie na porcelanie, drzewie i materyi, kwaciarstwo, szycie, hafty i robota sukien, oraz nauka telegrafii: oto przedmioty udzielane uczennicom tejże szkoły, która pobiera subsydyów: od rządu 2,000, od municypalności 3,000, od zarządu prowincyi 5,000 franków.

Umarła w Medyolanie zaszczytnie znana literatka i zasłużona kraju swego obywatelka, Giulia Pezzi, przyjaciółka Mazziniego i współpracownica

całej szlachetnej falangi ludzi, którzy się na odrodzenie nowożytnych Włoch składali. Zasługi jej jako literatki mniejsze są, jakkolwiek powieści jej i wiersze czytane były i cenione w swoim czasie; tytułem jej do pamięci i wdzięczności narodu są prace nieustannie łżone w kierunku oświecenia ludowego. Tygodniowe odczyty dla ludu, które bardzo podniosły wykształcenie klass pracujących w Medyolanie, w początkach swoich prawie wyłącznie były przez nią prowadzone. Umierając, miała lat 57. Pogrzebowi jej towarzyszył kilkunastotyśeczny orszak.

Pod nazwą: *Narodowego stowarzyszenia kobiet belgijskich* zawiązało się w Bruxelli towarzystwo dobroczynnego wspierania pracy kobiecej i, podzieliwszy się na wydziały i komitety, odpowiadające dzielnicom miasta, postanowiło odpowiednie założeniu swemu zakłady dobroczynne i naukowe albo wznosić, albo istniejące już wspierać. Bezpośrednim celem stowarzyszenia jest: kształcenie dobrych sług; urządzenie domu schronienia dla sług i wszelkiego rodzaju uczciwych robotnic, które pracy poszukują; sprzedaż robót kobiecych, po domach i wśród rodzin wykonywanych; stręczenie pracy we wszelkich kierunkach, zakładanie szkół gotowania, szkół niedzielnych, żłobków i ochronek dla dzieci, których matki są na robocie; wspieranie ubogich, sędziwych i chorych kobiet, oraz, w czasie zarazy lub wojny, związanie się w towarzystwo Krzyża Czerwonego i oddanie pod rozkazy władz rządowych. Oto czynności narodowego stowarzyszenia kobiet belgijskich.

Dnia 20 Maja zmarła w miejscowości przyległej Bruxelli: Saint-Josse-Ten-Noode najznakomitsza belgijska literatka i zacna kobieta, pisząca pod pseudonymem Karoliny Gravière. Jakkolwiek pisała po francuzku, sława jej mniejszą była we Francji, niż w krajach mówiących językiem francuzkim, to jest w Belgii i Szwajcaryi Francuzkiej, gdzie była cenioną bardzo wysoko i professor akademii Neufchâtelskiej, Born, w wyzerpującem studjum nad jej powieściami żąda dla niej w historyi literatury miejsca obok Sand, albo zaraz po niej. Angielska literatura posiada bardzo liczne przekłady jej bardzo płodnego pióra, choć w przekładach tych dają jej często nazwisko, jakie nosiła z męża: Ruelens. Właściwe jej nazwisko jest Marya de Crèvecoeur. Urodzona w 1821 r. była aż do dwudziestu trzech lat życia, to jest do pójścia za mąż, nieznaną publiczności. Uczyła się, pisała i malowała w ciszy wiejskiej rodzicielskiego dworu i dopiero jako mężatka ośmieliła się drukować, a ten fakt może, iż przygotowywała się do zawodu pisarki w skupieniu i aż do chwili dojrzałości umysłowej, że wzięła właściwie pióra do ręki, gdy wpływ uczonego męża, który był zachowawcą starożytnych rękopism w królewskiej bibliotece Bruxelskiej — wpływ uczonego grona jego przyjaciół, oddział już na nią: wszystko to sprawiło razem, że pewna niepodległość ducha i polot jego wyższy, choć może przy mniejszym talencie pisarskim, zbliża ją rzeczywicie do Sanda. Przyjaciółka ubogiego, pracującego, uciśnionego, odczytała się za nim; pragnęłaby usunąć z ziemi nędzę, ciemnotę, przesady, a choć pewien smutny pesymizm powieści jej przenika, są to niemniej dzieła szlachetnego i podniosłego umysłu, jakkolwiek błąka się on niekiedy wśród trudnych i smutnych dla serca kobiety zagadnień. Do słów uznania, jakie się jej należą, trzeba dodać to, że była zacną kobietą w rodzinie, dobrą matką dzieci, które sama uczyła i chowała. Angielski dziennik, *Globe*, poświęca jej pamięci wysoce pochwalne wspomnienie; widzimy zatem, że działalność jej literacka przekroczyła granice ojczystego jej kraju. W piśmie naszym o duchowym rozwoju i literackiej działalności Karoliny Gravière pisał już J. I. Kraszewski w Liście z zagranicy (*Bluszcz* z r. b. N.).

Dom Szwajcarski, *Schweizer Heim*, założony w Wiedniu jako schronienie dla poszukujących miejsca nauczycielek przez panią de Blaireville, przyjął w mury swoje przez ubiegły rok 1877, 455 nauczycielek, z których było: 162 Szwajczerek, 36 Francuzek, 28 Niemek, 20 Angielek, reszta Polek, Czeszek i Węgerek. Dla 185 znaleziono miejsce, kilkanaście w czasie choroby pielęgnowano, wielu udzieleno środków powrotu do ojczyzny.

Professor Ludwik Felmér z Kolosvaru, Węgier,

podał do angielskiego pisma: *Woman's Education Journal*, bardzo zajmujące szczegóły o umysłowym ruchu i kierunku naukowego wykształcenia kobiet węgierskich. Podniesienie publicznego wykształcenia dziewcząt w Węgrzech datuje się od 1868 r. i zawdzięczać je trzeba ówczesnemu ministrowi oświecenia, Eotvosowi. Założył on najpierw cztery szkoły normalne: w Budawár, Bolosvár, Pozsony, Szabadtká, następnie w sześciu innych miejscowościach. Stowarzyszenia kobiece, zawazywane w celach popierania wyższego naukowego wykształcenia dziewcząt, znalazły poparcie we wszystkich klassach narodu i oddziaływały szczęśliwie na kraj, nienaruszając przecież w zasadzie tradycyjnych w Węgrzech pojęć o przeznaczeniu kobiety i rodzinnem jej powołaniu. Literatura i sztuka węgierska otwierają chętnie kobiecie pole pracy i zaszczytnego odznaczenia.

Na tych zasadach, z dążeniem do postępu, któryby przecież nie tracił nigdy gruntu odwiecznych węgierskich tradycyj, z myślą stosowania udzielanych nauk do natury umysłu kobiecego, odrzucając przytem wszystko, co w naukowem wykształceniu kobiety byłoby bezużytecznym zbytkiem, otwarte zostało w Budapeszcie jeszcze w Paźdz. 1875 r. *Wyższe Rządowe Kollegium dla dziewcząt*, gdzie to tylko jest wykładaniem, co umysł uczennic w zupełności i całkowicie przyswoić sobie może. Powierzchność, ta najcięższa dotychczasowa wada w nauce kobiet, powierzchowne poznanie najznakomitszych pisarzów nie wystarczy też do wykształcenia wyższego smaku tyle potrzebnego kobiecie, tak jak nigdy nikt nie nabierze wyższej oglądy obyczajów, nieprzestając z ludźmi rzeczywicie ogladzonymi. Kobiecie potrzeba prawdziwej i głębokiej znajomości najlepszych utworów literackich, aby umysł jej podniósł się i uszlachetnił.

Kurs nauk w Kollegium jest sześcioletni; dwa pierwsze lata są oddane nauce przygotowawczej, a cztery dalsze dopiero obejmują studia właściwe. Następne przedmioty są obowiązujące w trzech klassach niższych: Język i literatura węgierska, język i literatura francuzka, język i literatura niemiecka, historia powszechna, historia węgierska, geografia, fizyka, chemia, matematyka, rysunki, śpiew, ćwiczenia gimnastyczne i roboty kobiece. Naukę moralności i religii wykładają nauczyciele odpowiedni wyznaniu religijnemu uczennicy. Język angielski udziela się w miejsce niemieckiego uczniom dostatecznie w języku niemieckim posuniętym. Wstępująca do klasy najniższej musi mieć 13 lat skończonych, przebyć egzamin próbny, lub wykazać świadectwo sześcioletniego kursu szkół niższych. Czas nauki szkolnej jest 30 godzin tygodniowo. Logika, Psychologia, Pedagogika, Ekonomia polityczna, Muzyka i Estetyka należą do wykładów ostatniego, najwyższego kursu. Roczna opłata za naukę i utrzymanie w Kollegium jest 6,000 franków“.

Ten ostatni szczegół wskazuje, że, na nieszczęście, wyższa ta szkoła kobiet węgierskich jest przystępną tylko dla córek bardzo bogatych rodzin — jest zakładem naukowym dla arystokracji majątkowej.

HISTORIA ZBRODNI

T O M II.

DZIEŃ CZWARTY.

Zwycięstwo.

(Dalszy ciąg).

Niewidziano jeszcze w historyi upadającego parlamentu w taki sposób.

(Tu już przesada autora w pochwałach do tego nieprawdziwych, nie liczy się ani z historią, ani z faktami. Dać się wziąć spokojnie do kozy, jak to uczyniła prawica, nie jest bohaterstwem, a o lewicy, uważanej jako „całość parlamentarna“, nie możnaby tego powiedzieć. Lewica bowiem pa-

dła najnawniej, gdyż dała się wziąć w zastawioną pułapkę, zrekając się praw jej przysługujących, do czego arcywnie i poetycznie, przyznaje się sam W. Hugo. Dopiero w chwili walki na ulicy — a nie w tonie Zgromadzenia — znalazło się tych kilkudziesięciu dzielnych i wytrwałych w oporze. Dlatego następne słowa autora nie są sprawiedliwie dobranymi przykładami, a w każdym razie nie stwierdzają słów jego powyższych. Mówi on dalej:

— Bonaparte — tamten — pierwszy, prawdziwy, kazał owym pięciuset przeleźć przez okna Oranżeryi w Saint-Cloud. Byli oni trochę zakłopotani swemi wielkimi płaszczami.

— Cromwell, najstarszy z Bonapartych, kiedy spełnił swój 18 Brumaire, nie znalazł innego oporu, prócz przekleństw Milona i Ludlowa, i mógł rzec w swoim języku grubiańsko-olbrzymim: „Schowałem króla w worek, a parlament w kieszeń“.

(Choćby nic więcej, to już same walki w łonie Assemblée Nationale i Konwencji aż do ostatnich dni Terroryzmu, w czasie wielkiej rewolucji francuzkiej, świadczą o istotnym i bohaterskim oporze, a więc przeciw autorowi).

— Potrzeboby — mówi znowu autor — sięgnąć aż do senatu rzymskiego, ażeby tam znaleźć prawdziwe krzesła kurulskie.

Wytrwałość i bohaterstwo Zgromadzenia narodowego z r. 1849, przypisuje autor — głosowaniu powszechnemu. I mówi na stwierdzenie tego: Cnotę takiego głosowania powszechnego uczuło ono (Zgromadzenie) w ostatniej swej godzinie. Siła żywotna całego narodu nie rozlewa się napróżno w Zgromadzeniu, nawet najbardziej upośledzonym.

(Nie mając nie przeciw głosowaniu powszechnemu jako zasadzie, zbawiennej nawet w większości wypadków, a czasami przy politycznych przekształceniach niezbędnej, niepodobna jednak nieprzypomnieć rezultatu głosowania powszechnego, znanego jako sławny plebiscyt Napoleoński, przed wojną prusko-francuzką r. 1870.

Niestety! — ową zarozumiałość i pewność siebie, którą jako ośmieszające przysłowie przyczepiają zwykle do niepoprawnych na polu historii Francuzów, — jeżeli do kogo, to bardzo często, możnaby zastosować do Wiktora Hugo.

* * *

W następnym rozdziale, zatytułowanym: „Karta napisana w Bruxelli“ zaczyna autora od tych słów:

— A więc! uderzę nogą w bramę tego pałacu i wejść tam z tobą, Historyo! Schwyćę za kołnierz wszystkich winnych gorącego a wiecznego uczynku tych wszystkich zamachów.

Oświecę nagle pełnym słońcem południa, prawdę tej jaskini nocnej!

Tak, ja przywrócę dzień! — zedrę zasłonę, roztworzę okna, ukazę oczom wszystkich takiego, jakim jest, podłym, strasznym, bogatym, triumfującym, radosnym, złoconym, splugawionym — pałac Elizejski, — ten dwór, ta grupa, ta kupa, nazwijcie ją jak chcecie, z której są wszystkie te ohydy, wszystkie te niegodziwości, wszystkie te obrzydliwości: filibustery, bukaniery — składający przysięgę, żegnający się krzyżem świętym, szpiegi, oszusty, rzeźnicy, kaci, poczawszy od condottiera który sprzedaje szablę swoją, aż do jezuitę, który handluje Bogiem swoim! — ten spód wewnętrzny okrętu, na którym Baroche trąca się łokciem z Teste'm, gdzie każdy przynosi swe nieczystości; Magnan swe epolety, Montalembert swoją religię, Dupin swoją osobę! — a przede wszystkim to gronko poufne, rada prywatna, jaskinia poufna, w której piją, jedzą, śmieją się, śpią, grają, szachrują, gdzie mówią „ty“; wysokości, gdzie się rozpasują! O! jakież obrzydliwości! Tam-to, tam-to! Hańba, obrzy-

dliwość, wstyd i plama jest tam! O Historyo! — piętna czerwonego żelaza na te twarze!

Tam-to bawią się i hulają i zapychają, tam-to drwią z Francyi! Tam-to pakują razem z wybuchami śmiechu, milionami ludorów i miliony głosów!

Patrzcie na nich, przypatrujcie się im — obeszlę się z prawem jak z dziewczką — i są zadowoleni! Prawo jest zgnębione, wolność zdławiona, sztandar splamiony, lud pod ich stopami — a oni szczęśliwi! A któż są oni? Kto są ci ludzie? Europa ich nie zna. Ujrzano ich pewnego pięknego poranku, wyługających się ze zbrodni. Nie więcej. Kupa błaznów, która mimo że się okryła sławą, pozostała nieznaną. O! wszyscy są tam — przypatrzcie się im, mówię wam i poznajcie ich, jeśli możecie.

Jakieże oni płci? Do jakiego należą gatunku? Co to za jeden? To pisarz. Nie, to pies. Żuje ciało ludzkie. A ten? Czy także pies? Nie, — to dworak. Ma krew na łapie.

Nazywają się: ludźmi nowymi! Nowymi! — rzeczywicie. Niespodziewani, dziwni, niesłychani, potworni! Krzywoprzysięstwo, niegodziwość, zło-dziejstwo, morderstwo, podniesione w górę jako departamenta ministeryalne, oszustwo zastosowane do głosowania powszechnego, rząd oparty na fałszu, obowiązek nazwany zbrodnią, zbrodnia nazwana obowiązkiem, cynizm śmiejący się w okrucieństwie: oto z czego się składa ich nowość!

A teraz, dobrze! — udało im się — sterują wszystkimi żaglami — krzyczą z radością! Oszukali Francję — teraz dzielą się nią. Francja jest workiem, w który oni wkładają rękę. Dalej przeskukujcie! — bierzcie dopóki przy nim stoicie, łowcie, czerpcie, rabujcie, kradnijcie! Jeden chce pieniędzy, drugi posad, jeden sznura na szyję, drugi pióra u kapelusza; jeden galonu u rękawa, drugi kobiet; tamten władzy, ten nowin spożytkować się dających na giełdzie, tamten kolei żelaznej, a inny wi-na. Wierzę bardzo, że są zadowoleni — bo wyobraźcie sobie nędzarza, który trzy lata temu wypożyczał dziesięć sous od swego portyera, a który teraz, wsparty rozkosznie na *Monitorze*, potrzebuje tylko machnąć piórem, ażeby zgarnąć milion. Robić siebie nawzajem szczęśliwymi najzupełniej, pozerać w tym celu finanse państwa, żyć kosztem skarbu jak jedynacy w rodzinie — oto ich polityka! Ambicya ich ma prawdziwe nazwisko: obzarstwo!

Oni ambitni! — ah! — oni są żarłokami! Rządzić, to znaczy używać.

Nie przeszkadza to zdradzać. Przeciwnie. Nawzajem się szpiegują i zdradzają. Mali zdrajcy zdradzają wielkich. Pietri zyzuje na Maupas'a a Maupas na Carliera. Kałuża wstrętna! Na spółkę zrobiono zamach stanu. Oto i wszystko. Wreszcie, nie są oni niczego pewni, ani spojrzeń, ani uśmiechów, ani ukrytych myśli, ani ludzi, ani kobiet, ani lokaja, ani księcia, ani słowa honoru, ani aktów urodzenia. Każdy czuje, że jest zdrajcą i wie, że jest podejrzanym. Każdy ma swoje zamiary ukryte. Każdy wie sam dla siebie, dlaczego to uczynił. Ani jeden nie wyjawia zagadki swej zbrodni, a nikt nie nosi nazwiska swego ojca.

— Ah! Daj mnie Boże życia a Jezus niech mi przebaczy, a wystawię szubienicę wysoką na 100 łokci, wezmę gwoździ i młot i ukrzyżuję tego Beauharnais nazwanego Bonaparte, pomiędzy Leroy nazwanym Saint-Arnaud a Fialinem, nazwanym Persigny.

A zawiode was tam wszystkich, was współników! Tego Morny, tego Romieu, tego Foulda, senatora-żyda, tego Delangle'a, który ma napisane na swym grzbiecie: *Sprawiedliwość!* I tego Troplong'a, legistę wysławiającego pogwałcenie praw, apolo-gistę zamachu stanu, urzędnika schlebiającego krzywoprzysięztwu, sędziego — panegirystę morderstw, który dojdzie do potomności z gąbką pełną błota i krwi w rękę.

Rozpoczynam więc walkę. Z kim? Z panują-

cym dziś rzeczywiście w Europie. Dobrze, gdy się da widowisko takie światu (1).

Ludwik Bonaparte to powodzenie, to tryumf upojony, to despotyzm wesoły i dziki, rozwijający się w zwycięztwie, to pełnia szalona potęgi, szukająca sobie granic a nieznajdująca ich, ani w rzeczach ani w ludziach; Ludwik Bonaparte trzyma Francję, *urbem Romam habet*, a kto trzyma Francję ten trzyma świat; jest on panem głosów, panem sumień, panem ludu; mianuje swego następcę, rządzi na zawsze przyszłemi wyborami, rozporządza wiecznością i wkłada przyszłość w kopertę zapieczętowaną.

Senat jego, jego ciało prawodawcze, jego rada państwa — to głowy schylone i zmieszane w tyle za nim, liżące mu stopy; na sforze prowadzi biskupów i kardynałów; stąpa po sprawiedliwości którą go przeklina i po sędziach, którzy go wielbią; trzydzieści korespondencyj zawiadamia kontynent, że zmarszczył brwi, a wszystkie telegramy elektryczne drżą, gdy podniesie palec; — naokoło niego słychać szcęk pałaszy, a dobosze biją w bębny; — on siedzi pod cieniem orła w pośrodku bagnatów i cytadel; ludy wolne drżą i chowają swoje swobody ze strachu, ażeby im ich nie ukradł; wielka rzeczpospolita amerykańska nawet, waha się w jego obecności i nie śmie odwołać ambasadora; królowie otoczeni armiami patrzą na niego z uśmiechem, z sercem pełnym przestachu. Od czego zacznie? Od Belgii? Od Szwajcaryi? Od Piemontu? Europa lęka się najazdu. On może wszystko i marzy o wszystkim.

Otóż więc — na tego pana, tryumfatora, tego zwycięzcę, tego dyktatora, tego cesarza, tego wszechpotężnego, człowiek sam, tulający się, ograbiony, zniszczony, wygnany, powstaje i napada. L. Napoleon ma 10,000 armat i 500,000 żołnierzy; pisarz jest niczem, ziarnkiem piasku, cieniem, wygnańcem bez schronienia, włóczęgą bez paszportu, lecz z nim walczą dwie potęgi: prawo, które jest niezwykłym i prawda, która jest nieśmiertelną.

Zapewne, że na tę walkę bez odpoczynku, na ten straszliwy pojedynek, mogła być Opatrzność wybrać znakomitszego szermierza, większego atlete, lecz poco tu ludzi tam, gdzie idea walczy! Taki, jaki jest, dobry jest — bo czemuż jest właściwie? Intelligencyą, atomem, który opór stawia sile, kolosowi.

Mam tylko kamień w swojej procy, ale ten kamień dobry; ten kamień to sprawiedliwość!

Atakuję L. Bonaparte w tej godzinie gdy stoi, gdy jest panem. Stoi na wysokości — tem lepiej — tego mi właśnie potrzeba.

Tak jest — mówi dalej — uderzam na Bonaparte, uderzam w obecności świata całego, w obecności Boga i ludzi, — uderzam stanowczo, dla miłości ludu i Francyi.

Ma zostać cesarzem: niech i tak będzie! Niech przynajmniej jedno czoło mu się oprze, niechaj L. Bonaparte wie, że bierze się imperyum, ale nie bierze się sumienia!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 27-my powieści pod tytułem: Zamek Daly.

(1) Tylko, że chwila wydania tej książki jako spóźniona i po upadku Napoleona III nie może sprawić wrażenia, jakie autor zamierzał. (Przypisek streszczającego).

TREŚĆ. Dwaj myśliciele francuzcy z XVIII wieku, (dalszy ciąg); przez S. K. — Vanina Ornano, dramat, (dalszy ciąg), przez J. K. S. — Sąsiedzi, powieść, (dokończenie), przez J. I. Kraszewskiego. — Olbrzymie słońce z dzieła Proctora, (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej. — Historia zbrodni, W. Hugo, (dalszy ciąg), przełożył Edward Lubowski.